Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZESPÓŁ tygodnik

Nr 28 — 29 Warszawa, 16 — 31 lipca 1939 r. ROK II.

STANISŁAW KLINGA

BYĆ SOBĄ

W naszej nauce, literaturze, w publicystyce, w codziennych rozmowach o naszej sytuacji, polityce ,kulturze — stale powtarzają się twierdzenia: jesteśmy między Niemcami i Rosją, jesteśmy między Wschodem i Zachodem, jesteśmy między Europą i Azją. I usiłuje się z tych twierdzeń wyprowadzić wnioski, czym mamy być jako państwo, jako naród, jako kultura. Usiłuje się z tych faktów wywnioskować, jaki mamy mieć ustrój polityczny i jaką ma być nasza misja dziejowa, opiera się na tych stwierdzeniach wskazówki dla bieżącej polityki, ba! nawet taktyki politycznej.

Więc jedni mówią, że misją Polski jest cywilizować Wschód, drudzy — że kultura polska powinna być syntezą między Wschodem i Zachodem, inni wołają, że skoro jesteśmy między Wschodem i Zachodem, to nie możemy przyjmować wzorów ustrojowych od zachodnio-europejskich demokracji, a jeszcze inni, że Polska powinna ściśle upodobnić się do tych demokracji, bo nasza kultura jest zachodnio - europejska.

I przypomina się wiersz Cypriana Norwida:

„Jak Słowianin, gdy brak mu [naśladować kogo,
Duma w szerokim polu, [czekając na *siebie*"...

W tym dwuwierszu genialnego poety jest postawiony w sposób właściwy cały problem i jest dana wyczerpująca odpowiedź na wszystkie pytania, czym mamy być? Odpowiedź ta brzmi — *sobą*.

W gruncie rzeczy cała praca myślowa współczesnego pokolenia polskiego jest poszukiwaniem przez Naród Polski *samego siebie*. Szukamy siebie i oczekujemy na siebie mimo, że już jesteśmy, mimo, że jako naród i kultura jesteśmy już istnością określoną, posiadającą wśród innych narodów świata całkiem wyraźne indywidualne oblicze. Chodzi więc tylko o sformułowanie, o znalezienie słów i nazw.

W tych poszukiwaniach popełnia się pewien kardynalny błąd. Usiłuje się bowiem określić, czym jesteśmy, na podstawie otaczających nas materialnych elementów rzeczywistości, podczas gdy w istocie rzeczy ustosunkowujemy się do zewnętrznych zjawisk w taki a nie inny sposób, dla tego, że taką a nie inną jest nasza psychika kulturalno-polityczna. Oceniamy rzeczywistość pod kątem widzenia naszych celów, naszych pragnień, naszych ideałów i usiłujemy tę oporną rzeczywistość tak kształtować i tak naginać, by odpowiadała ona możliwie najbliżej naszym wyobrażeniom o tym co jest dobre, piękne, pożyteczne, sprawiedliwe. Odrzućmy na bok to gadanie o Wschodzie i Zachodzie, bo choć to pięknie brzmi, ale w gruncie rzeczy te określenia nic nie mówią. Odrzućmy również pomysły o syntezie kultury wschodu i zachodu, bo ta synteza jest niemożliwa. Człowiek wschodu jest bierny w stosunku do rzeczywistości, człowiek zachodu świadomie przetwarza rzeczywistość twardą pracą i walką. Tu nie ma syntezy, a jakby i mogła być, to trzeba ją odrzucić, wybór jest bowiem nietrudny.

Realnymi faktami w życiu ludzkości są *państwa*. To też prawdą realną, z której należy wyciągnąć praktyczne wnioski jest tylko to, że Polska leży między Niemcami i Rosją. Ale i z tego faktu wcale nie wynika, czym mamy być. Wręcz odwrotnie. Nasz stosunek do Niemiec i Rosji, nasza polityka, nasza działalność wynika z tego, że jesteśmy *sobą*, że jesteśmy *inni*, że dążymy do innych celów, że rzeczywistość stwarzarzana przez tamte narody jest nam wroga, obmierzła i obca, że nawet wtedy, gdy te narody nie zamierzają niszczyć nas fizycznie, to sam wpływ wielu ich idei i pomysłów osłabia naszą rodzimą twórczość, podrywa zaufanie do siebie, pozbawia radości i dumy tworzenia z siebie i dla siebie. A tworzyć — to właśnie znaczy — być sobą.

W dramacie rosyjskiego pisarza, Aleksego Tołstoja — starego, pt.: „Iwan Groźny" jest piękna scena, gdy przed obliczem cara staje poseł króla polskiego, Haraburda, szlachcic ruski, prawosławny z wyznania. Iwan Groźny z tytułu jego wyznania i pochodzenia zarzuca mu zdradę, a Haraburda odpowiada mu z dumą, że jest wolnym obywatelem Wielkiej Rzeczypospolitej Polskiej, że nie pełza jak rab na kolanach przed żadnym satrapą, że nad nim rządzi prawo a nie gwałt, że nikt nie śmie czynić żadnych zamachów na jego godność *człowieka*.

Tu leży sedno sprawy — w zagadnieniu *człowieka*. Nie zawahamy się postawić tezy, że w tym zagadnieniu — stosunku do człowieka, szacunku do osobistej wolności, godności ludzkiej i swobody tworzenia — tkwi linia podziału między kulturami narodowymi, a kwestia form organizacyjno - ustrojowych poszczególnych państw jest raczej wtórna, a przede wszystkim wynikająca z materialnych elementów rzeczywistości i praktycznych zadań, stojących przed narodem w danym etapie historycznym. Dlatego, zawsze wtedy, gdy chodzi o wybór dróg naszej polityki, odwołujemy się nie do idei politycznych, ale zwracamy uwagę na konkretne, materialnie i namacalnie istniejące okoliczności i fakty. W dzisiejszym etapie historycznym jesteśmy między Niemcami i Rosją, jako państwami zwartymi w jednolite bloki. Nie zawsze tak było, bo za Jagiellonów walczyliśmy

(dokończenie na str. 2-ej)

BYĆ SOBĄ

(dokończenie)

raczej z samym tylko Zakonem Krzyżackim, a nie z całym cesarstwem niemieckim, a Rosja — to było wówczas Wielkie Księstwo Moskiewskie, bez Ukrainy, Kaukazu itd. Liczebny stosunek sił jest dziś bardziej na naszą niekorzyść. I ta właśnie okoliczność powinna nam dyktować zasady naszego ustroju państwowego i społeczno-gospodarczego, nie zaś sympatie do różnych idei politycznych. Z zachodnio europejskimi demokracjami łączy nas wspólny ideał człowieka, wolności indywidualnej i poszanowania godności osobistej. Ten ideał jest niewątpliwie obcy i Rosji i hitlerowskim Niemcom. Ale z tego bynajmniej nie wynika, byśmy mieli zaciągnąć „pożyczkę ideologiczną" od zachodnich demokracji, jak proponują niektórzy.

Ideału człowieka nie potrzebujemy pożyczać, bo już go mamy, *a co zaś się tyczy organizacji życia i ustroju państwowego, to warunki i okoliczności, w jakich żyjemy, są odmienne i one narzucają nam inny tryb życia zbiorowego.*

My żyjemy w stałym niebezpieczeństwie i fakt ten narzuca nam konieczność takich form organizacji życia zbiorowego, które powierzchownym obserwatorom mogą wydawać się „totalnymi" i które przez sympatyków totalizmu mogą być wykorzystywane dla stotalizowania życia. To niebezpieczeństwo faktycznie istnieje. Nazywamy to niebezpieczeństwem, bo w ustroju totalnym, rządzonym ideologią totalną, my, Polacy, *nie możemy być sobą.*

Tym niemniej Polska musi być zorganizowana na wzór obozu warownego, musi mieć stale pół-wojenną organizację życia politycznego i gospodarczego, chyba, że Niemcy i Rosja rozpadłyby się w gruzy, na co na razie, niestety, się nie zanosi. Problem zaś polega na tym, by Polska była obozem warownym *wolnych ludzi, zdyscyplinowanych,* lecz nie bezmyślnie posłusznych, umiejących walczyć w tyralierce oraz w pojedynkę, kiedy rozkazy nie zawsze dochodzą i trzeba myśleć samemu, bo granice nasze są bardzo długie, pola walki rozległe i nie jest nas tak dużo jak wrogów. Lecz czas wolny musi być *wolny* i nie chcemy go tracić na parady, marsze, które nic a nic nie uczą, jak walczyć z przeważającym wrogiem.

Demokracje zachodnie muszą to zrozumieć i nie potępiać nas z wysokości swych humanitarno - pacyfistycznych ideałów naprzykład za to, że w naszym harcerstwie jest za dużo wojskowego stylu bycia. To trudno i darmo — my *musimy* być tacy, bo inaczej zginiemy. Największy cywil i mól książkowy wśród naszych myślicieli orzekł, że każdy Polak musi mieć coś z żołnierza w sobie. „Taki los dał nam Bóg" i dlatego wszelkie gadania o polskim militaryzmie musimy znosić jako dopust Boży i puszczać wszelkie na ten temat kazania obojętnie mimo uszu, lub co najwyżej łagodnie tłumaczyć źle poinformowanym przyjaciołom zagranicznym.

Właściwie mówiąc, to nasze życie należy jeszcze na jednym odcinku możliwie głęboko zmilitaryzować. Chodzi mianowicie o pewne formy „towarzyskie" obcowania obywateli z władzami. W wojsku „wynaleziono" sposób oddawania honorów najwyższym hierarchicznie władzom na sztywno, bez zginania grzbietu i karku i nawet gdy się staje do raportu z prośbą, nie używa się proszącego tonu, w dodatku zarówno proszący i proszony jednakowo stoją na baczność. Jest to sposób bycia wybitnie odpowiadający wolnym i dumnym ludziom, więc w przeciągu dwuletniej służby łatwo i z przyjemnością do niego się przyzwyczają. Potem jednak ci ludzie, wyszedłszy do cywila, mają kłopoty w stosunkach z różnymi cywilnymi władzami, które często nie lubią ludzi sztywnych i głośno mówiących. Ten odcinek stanowczo warto by „zglajszachtować" na modłę wojskową.

Na tym przykładzie zobrazowaliśmy zagadnienie obyczajowości demokratycznej w życiu codziennym. W gruncie rzeczy te formy można przyjąć jak się chce, byleby obowiązywały między ludźmi wzajemnie, niezależnie od stopni hierarchicznych. Bo każdy człowiek nie lubi kłaniać się bez wzajemności, każdy nie lubi gwałtu i przymusu. Tylko jedni mogą to znosić, inni nie. My akurat jesteśmy narodem, który takie rzeczy znosi bardzo źle, a raczej nie znosi. *Tacy właśnie znaleźliśmy się między Niemcami i Rosją i chcemy pozostać sobą.* Dopóki zaś będziemy pozostawać sobą, będziemy zwyciężać i będziemy przyciągać do siebie jednostki spośród innych narodów i to nie te jednostki, co zmieniają narodowość i poglądy dla zysków i wygody, lecz ludzi wartościowych, dumnych, pełnych poczucia godności własnej jak ów Haraburda.

Problem polskiego ustroju społecznego, politycznego i gospodarczego można na tle istniejących warunków zewnętrznych i właściwości naszej psychiki narodowej sformułować w sposób następujący:

chcemy być i *wolnym narodem* i *wolnymi ludźmi.* Jeśli nie będziemy wolnym narodem, to nie będziemy wolnymi ludźmi. Po to, żeby być wolnym narodem między Niemcami i Rosją, musimy zorganizować swe państwo na wzór obozu wojennego, w którym obowiązuje posłuch i dyscyplina. Lecz równocześnie chcemy być wolnymi ludźmi, nie chcemy upodobnić się do Niemców i Rosjan, którzy są tylko wolnymi narodami. Z natury naszej wynika, że my musimy być również wolnymi ludźmi po to, żeby być wolnym narodem.

Jakże więc pogodzić posłuch i dyscyplinę z wolnością? Na to ma już odpowiedź Józef Piłsudski — czynnikiem uzgodniającym jest prawo i honor. Jeśli ustanowione prawa odpowiadają narodowym pojęciom sprawiedliwości i jeśli godność ludzka jest szanowana, to istnienie dyscypliny i posłuchu będzie zagwarantowane bez używania w praktyce przymusu. Któż zresztą uważa nakaz czynienia tego, co sam uznaje jako sprawiedliwe i słuszne, za przymus? To już nie jest przymus a tylko koordynacja woli i organizacja działania. Kiedyż i jakiż żołnierz odczuwa sygnał do ataku, jako przymus?

Konkludujmy: ustrój polski może być jak najbardziej nawet oparty o dyscyplinę, ale musi na każdym kroku rządzić się prawem, przestrzegać sprawiedliwości i szanować godność osobistą człowieka. Dyscyplina? — tak, twarde życie? — tak, ale dla wszystkich.

Czy to jest możliwe bez kontroli społecznej, bez świadomego udziału szerokich mas? Nie!

STANISŁAW KLINGA

OD WYDAWNICTWA

W okresie letnim, to jest przez lipiec i sierpień, „ZESPÓŁ" ukazywać się będzie dwa razy w miesiącu

J. GROCH

Kauzyperda w służbie żubra i rekina

Kauzyperda — to najmarniejszy typ obrońcy cudzych interesów, podejmujący się tej obrony zawsze gdy może zarobić, bez skrępowania etyką zawodową. Kauzyperda nie krępuje się w podejmowaniu obrony nawet takich interesów, które są ze sobą nawzajem sprzeczne; może to czynić, bo obojętną mu jest słuszność sprawy, a zamiast lojalności wobec swych mocodawców ucieka się do różnych kruczków, koziołków umysłowych, łamańców logicznych — aby handel szedł. Kauzyperdzie potrzebne jest minimum skrupułów i maksimum sprytu. Zawód trudny, często niewdzięczny (obie strony płacą, ale też obie mogą po łbie nakłaść), zawsze paskudny.

Refleksje na temat zawodu kauzyperdy nasuwają się często, gdy czyta się wywody publicystyczne w „Czasie" lub „Słowie" wileńskiem. Służyć wypada jednocześnie żubrom ziemiańskim i rekinom przemysłowym. Bardzo często, w odniesieniu do licznych problemów, interesy tej menażerii są zgodne, ale też często są sobie przeciwne. A trzeba tak pisać, aby i żubr był cały i rekin syty, słowem trzeba uruchomić wysoki kunszt kauzyperdzki.

Ciekawy przykład tego mieliśmy niedawno, w artykuliku „Słowa" wileńskiego (z dn. 27 ub. m.) na temat monopolu zbożowego. Zupełnie milczeć o tej sprawie nie można, trza coś pisać, ale co: jeśli monopol przyniesie zwyżkę cen zbóż, to interesy żubrów nakazują go pochwalić, a znowu interesy rekinów kazałyby ganić. Nie ma innej rady, trzeba jakoś klajstrować, więc się pisze mniejwięcej tak:

Monopol *może* przynieść zwyżkę cen zbóż, a więc wierne żubrom „Słowo" pragnie go z zastrzeżeniem „jeżeliby nad monopolem sprawować mogli władze dyktatorską p. Papara, albo Sobczyk albo Mikołajczyk, albo Kleszczyński, ...wówczas monopol może być i będzie napewno dźwignią ratunku dla opłacalności rolnictwa". (W tym momencie żubry uśmiechają się mile do wileńskiego kauzyperdy, natomiast rekiny robią minę zaniepokojoną, trzeba zatym dalej napisać coś dla rekina).

Niestety, jednak — pisze więc dalej „Słowo" — pewno monopolu rząd nie da w pacht żubrom, a wobec tego monopol będzie zgubny, nie należy go robić: „dopóki nie będą wyczerpane środki, które już rząd posiada, dopóty szukanie nowych, rewolucyjnych środków może się wydać niezbyt celowem". (Rekin kiwnął głową z aplauzem).

Myślicie, że na tem koniec? O nie, to wystarczyłoby naiwnemu prostaczkowi, a rasowy kauzyperda musi być i jest sprytny. Wie doskonale, że obaj jego klienci nie dadzą się zanadto bujać, nie wystarczy mizdrzyć się raz do jednego, raz do drugiego. Pokłócić żubra z rekinem też nie uda się, zresztą kauzyperda tego nie chce, skoro oba zwierzaki zgodnie finansują „Słowo". Trzeba więc zeskoczyć ze śliskiego tematu i prędko pochwalić coś, co i żubrowi i rekinowi równie jest miłe, wskazać kogoś, z kogo i żubr i rekin mógłby drzeć łyko. Pisze więc „Słowo": „sposób ratowania rolnictwa jest tylko jeden..., polega na dopuszczeniu do ogólnego ruchu zwyżkowego, który przesunie decydujący dochód społeczny ze sfer konsumenta, tj. urzędnika i robotnika, na sfery producentów, tj. przemysłowców, rzemieślników i rolników". I rekin i żubr w tym miejscu klaszczą w ręce (w tym wypadku zwierz i ryba mają ręce), a kauzyperda, rad ze siebie, idzie do kasy po „honorarium". Któż mu bowiem każe wytłómaczyć się z tego, że przecież masie chłopskiej interesy konsumenta, tj. poziom cen przemysłowych — bardzo są bliskie, że ten robotnik i urzędnik, to też dobre tysiące obywateli, że trudno sobie wyobrazić trwalszy wzrost produkcji bez jednoczesnego wzrostu konsumcji, któż zmusi kauzyperdę do wyraźnego przyznania, że chodzi mu o interesy *wielkiego* rekina przemysłowego i *wielkiego* żubra wiejskiego, a nie o drobne pogłowie obywateli Rzplitej. Poza tym nie przeszkadza kauzyperdzie, że sprawa monopolu zbożowego jest czym innym, aniżeli sprawą ogólnej polityki koniunkturalnej. Właśnie dlatego, że jest kauzyperdą może nad tem wszystkim przejść do porządku dziennego, wystarczy mu kręcić kuprem na prawo i lewo, z apetytem liżąc każdą łapę, która daje forsę.

ANDRZEJ KRZEWIEC

Walka z przestępcami i wychowanie młodzieży

Na łamy prasy znów wypłynęło zagadnienie stosunków panujących na wyższych uczelniach.

Punktem wyjścia był fakt trzeciego już w b. r. akad. zabójstwa popełnionego na terenie wyższych uczelni we Lwowie.

Grono profesorów z prof. Bartlem na czele w memoriale złożonym władzom państwowym zwróciło uwagę na szerzenie się zbrodni na terenie uczelni lwowskich i stwierdziło, że „walka ze zbrodnią może być wygraną tylko przy użyciu argumentów siły fizycznej".

Znalazły się pisma, które zakwestionowały właściwość wystąpienia tych profesorów. Napisano szumnie, że „pałką gumową młodzieży się nie wychowa".

Powiedzenie ładne, ale w danym wypadku albo nieprzemyślane, albo świadomie zastosowane niewłaściwie dla ochrony zbrodniczych, a miłych czyjemuś sercu, grup młodzieży.

Że mamy do czynienia nie z jednostkami zbrodniczymi, a z grupami o instynktach zbrodniczych, dowodzi dalszy przebieg wydarzeń.

Jednocześnie z ostrym wystąpieniem grona profesorów — Minister Świętosławski spróbował metody prawdziwie wychowawczej, będącej przeciwieństwem argumentu siły fizycznej: zwrócił się do organizacyj akademickich o potępienie zbrodniczych metod. Wynik tej próby jest zatrważający — oto 18 stowarzyszeń akademickich dało odpowiedzi wykrętne.

Nad tym nie można przejść do porządku! Groźnym dla siły moralnej narodu jest bowiem fakt, że na terenie młodzieżowym istnieją grupy, w których zbrodnia nie spotyka się z potępieniem. Nie idzie tu jednak o wychowywanie młodzieży pałką gumową.

Trzeba odróżnić dwie strony zagadnienia: walkę z przestępcami i wychowywanie młodzieży.

Pierwsze wymaga pałki gumowej i nie może być argumentu, któryby uzasadniał powstrzymanie się od jej użycia.

Trudno jest pojąć, że w nowoczesnym państwie może być teren gdzie można spokojnie ludzi zabijać a policja musi przyglądać się temu bezczynnie — sama bowiem nie ma prawa wkroczyć, a ludzie, na tym terenie rządzący, nie czują się w obowiązku tej policji wezwać.

Wysuwanie w tej sprawie argumentu wolności nauki, wydaje się świadomą złą wolą.

Przecież ten policjant ma tam być wezwany nie po to, by kontrolować co głoszą z katedr profesorowie, ale po to, by obezwładnić i unieszkodliwić przestępcę, normalnego przestępcę kryminalnego, tego typu, co nożowiec na przedmieściu stolicy.

Nie z tej więc strony zagrożona jest wolność nauki.

Fikcję z tej wolności chcą zrobić właśnie ci, którzy najwięcej krzyczą w jej obronie. Oni bowiem chcą decydować o doborze profesorów, o nastawieniu ich wykładów itp. A w stosunku do tych, którzy im się ośmielą narazić, potrafią zastosować teror w wszelkiej postaci.

Tak więc pałka winna dać ochronę przed elementami przestępczymi, zapewnić pełną swobodę pracy naukowej.

To są zadania doraźne, na najbliższą metę.

Osobno trzeba pomyśleć o akcji

(dokończenie na str. 8-ej)

Co dzieje się na świecie?

BUŁGARIA i BAŁKANY

Bałkany są terenem, gdzie krzyżują się wzajemnie wpływy wielkich mocarstw zachodnich i państw osi. Nie można powiedzieć, aby ten proces odbijał się korzystnie na samych państwach bałkańskich. Liczenie na pomoc czy poparcie tego lub innego mocarza osłabia zawsze własną wolę i siły do samodzielnych wysiłków. Ten przetarg bałkański istotnie nie pomógł nikomu specjalnie, a raczej sytuację właściwie pogorszył. Wynika to też ze struktury Bałkan i ich konfiguracji geopolitycznej. Organiczne jednak zło tkwi — wydaje się nam — w braku wewnętrznych sił i małym potencjale obronności własnej tych państw. W obecnej sytuacji, gdy nie wiadomo kto z kim, gdzie i kiedy będzie się bił — słabości wewnętrzne danych państw, wynikłe z krzyżowania się wpływów i interesów tych czy innych mocarstw — są największym złem ,które tradycyjnie odbija się fatalnie na samym obiekcie przetargu, zgodnie ze starym przysłowiem, na kim się miele, na tym się skrupi. Coprawda państwa bałkańskie usiłowały przeciwstawić się wpływom i mieszaniu się mocarstw w wewnętrzne sprawy bałkańskie i w tym celu m. in. zawarły między sobą pakt, zwany bałkańskim, lecz w praktyce było co innego.

Przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę z tego, że konsolidacja na Bałkanach nie powstała choćby dlatego, że do bloku bałkańskiego nie weszła Bułgaria. Nie weszła ona znów do bloku dlatego, że w genezie paktu dopatrzyła się momentów politycznych zwróconych przeciw jej rewizjonizmowi. Nie mając więc nadziei na zmianę swych okrojonych granic, nie chciała za cenę platonicznej miłości wejść do porozumienia bałkańskiego.

Bułgarii pozostała w takim stanie rzeczy jedna droga i jedna taktyka polityczna: neutralność i równowaga.

W tej postawie Bułgarii widzą niektórzy wielkie niebezpieczeństwo, że zbliży się ona do państw osi i że grozi to jej uzależnieniem się od Niemiec.

Niewątpliwie zachowując neutralność, straciła zapewne Bułgaria wiele korzyści — lecz politycznie biorąc mogła wewnętrznie tężeć i przyzwyczajać się do liczenia na własne siły, w myśl zasady, że jak sobie sama nie pomoże, to jej nikt nie pomoże. Biorąc ten kapitał moralny Bułgarii pod uwagę, niebezpieczeństwo „uzależnienia" się od Niemiec jest trochę słabsze. Osłabi się ono bardziej, gdy zdamy sobie sprawę jak głęboko w duszy tkwi w Bułgarach smutna pamięć sojuszu z Niemcami w czasie wojny. Społeczeństwo bułgarskie sentymentu ani miłości do Niemiec nie żywi. Tylko zdrowy, prosty interes nakazuje im stosunki utrzymywać z Niemcami więcej niż poprawne.

Bułgaria jak wiadomo lokuje w Niemczech istotnie 80% swego eksportu. To ją zapewne do wielu rzeczy względem Rzeszy zobowiązuje.

Nie można jednak mieć pretensji o to do Bułgarii, że lokuje tam aż 80% swego eksportu — skoro ci, którym zależy na pozyskaniu Bułgarii, nie czynią nic, aby przyjąć na siebie ten eksport i w walce o byt pomóc Bułgarii.

Co zaś do Anglii i Francji to państwa te — jak się rozumuje w Bułgarii — dając kredyty, pożyczki itd. czynią to koniunkturalnie i bez przekonania, a w dodatku nie popierają politycznych dążeń rewindykacyjnych Bułgarii.

W tym stanie rzeczy Bułgaria z handlu z Niemcami rezygnować nie mogła.

Bułgaria mimo to jest neutralna. Zabiegi stron o pozyskanie jej do tej czy innej osi pozostały narazie bez odpowiedzi. Bułgaria, powodowana słusznością swej racji stanu, nie opowiedziała się za osią. W akcji dyplomatycznej prowadzi politykę równowagi. Warto zestawić poczynania w tym kierunku za okres ostatnich miesięcy. Po znanych wizytach króla Borysa w Londynie i Paryżu, nastąpiła jego wizyta w Rzymie. W obu wypadkach żadne układy podpisane nie były. Były to wizyty kurtuazyjne. Premier Kiosseivanow bawił z wizyta w Turcji. Ostatnio jeździł do Berlina a w tym tygodniu spotkał się z jugosłowiańskim ministrem spraw zagranicznych Cincar Markowiczem. W najbliższych dniach odbędzie się podróż przewodniczącego parlamentu bułgarskiego do Paryża i Londynu.

Wizyta berlińska premiera nie dała oczekiwanego rezultatu dla Rzeszy. Znaczy to — Bułgaria nie dała się wciągnąć do osi.

Nie mamy powodu rozgrzeszać Bułgarii ze zbliżenia do Niemiec. Ale możemy podkreślić jedno, że to zbliżenie nie jest flirtem. Jest to tylko raczej chwyt taktyczny, który wynikł z trzeźwej oceny sytuacji i ustosunkowania się negaytwnego pewnych państw bałkańskich do Bułgarii.

Jakież są żądania Bułgarii i jaki jest jej stosunek do poszczególnych sąsiadów?

Bułgaria żąda granic z r. 1913. Chodzi jej głównie o Trację, a więc o dostęp do Morza Agejskiego przez Grecję i o południową Dobrudżę od Rumunii.

Dostęp do Morza Egejskiego jest dla Bułgarii kwestią życia i śmierci. Port Dede-Agacz, będący do r. 1919 w jej posiadaniu takie ma znaczenie dla niej, jak dla nas Gdynia i Gdańsk. Morze Czarne jest bowiem faktycznie morzem zamkniętym. Poza gosnodarczymi i życiowymi względami Dede-Agacz ma dla Bułgarii kolosalne znaczenie strategiczne. Grecja będąc niestety zagrożona przez Italię — boi się panicznie wszelkich zmian terytorialnych, aby się to nie stało powodem do utraty jej niepodległości. Anglia gwarantując niepodległość Grecji, uczyniła to ze względu na Italię. Bułgaria wojny z Anglią prowadzić nie będzie. Wszystko za tym przemawia, że pokojowo sprawę tę może załatwić Grecja i Anglia. Trzeba tylko, by państwa te chciały tego.

Dobrudża dla Bułgarii jest śpichlerzem i bazą aprowizacyjną, organicznie i etnograficznie zrośniętą z nieurodzajnymi obszarami północnej Bułgarii. Rumunia trwa w swej nieustępliwości, obawiając się, że ustępstwa na rzecz Bułgarii byłyby precedensem, na podstawie którego Węgrzy żądać będą od niej Siedmiogrodu a Sowiety Besarabii. To są właściwie żądania Bułgarii. O Macedonię w tej chwili jej nie chodzi, ani też o dwa symboliczne miasta Bosilegrad i Carybrod. Obecnie istnieje zasadnicza zgodność interesów Sofii i Białogrodu na Bałkanach. O zaufaniu i przymierzu świadczy fakt, że wszelka wymiana korespondencji dyplomatycznej odbywa się w obu krajach w ich językach ojczystych. Pewne spory o prawa dla mniejszości bułgarskiej w Macedonii są kwestią drugorzędną w stosunkach jugosłowiańsko - bułgarskich.

Z Turcją łączą Bułgarię najzupełniej poprawne stosunki. Bułgaria czyni wszystko, aby uzyskać swe rewindykacje na drodze pokojowej. Tak się jednak składa, że Niemcy są tym jedynym krajem, który oficjalnie Bułgarię popiera w tych dążeniach.

Bułgaria to poparcie przyjmuje z całą ostrożnością, licząc głównie na własne siły. Reszta zależy od innych. Im rozwiązanie tej sprawy będzie szybsze — tym szanse wpływu Niemiec i odegrania się na Bałkanach będą mniejsze. Inicjatywa w sprawie bułgarskiej spoczywa w tej chwili w Bukareszcie i Atenach.

STANISŁAW GABRYL

TYDZEŃ ŻYCIA



LEON BRÓZDA

NOWY PLAN HITLERA W SPRAWIE GDAŃSKA

PIERWSZĄ i drugą batalię o Gdańsk przegrał Hitler z kretesem. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż były już dwie fazy „Gdańska". *Primo:* wyobrażali sobie Niemcy, że samym rozpędem, po zajęciu Sudetów, potem Czech, potem Kłajpedy, wejdą i do Gdańska, wystarczy tylko wystosować odpowiednie żądania pod adresem rządu polskiego, a sprawa będzie załatwiona. Wystosowali i... zdębieli, zamiast Gdańska dostali figę. Pan minister Joachim von Ribbentrop, o którym Hitler powiedział iż „jest największym mężem stanu, jakiego kiedykolwiek wydały Niemcy, większym nawet niż sam Bismarck", natychmiast uplanował batalię nową. Nastąpiło więc *secundo:* powtórzenie sztuczki z przeszłego roku zastosowanej wobec Czechów — wojna nerwów, odizolowanie Polski, ogłupienie opinii europejskiej, zdemoralizowanie Polaków, no i zajęcie Gdańska. Nie udało się! Wojnę nerwów przegrali właściwie rządcy Trzeciej Rzeszy (a najwięcej bodaj pan minister Ribbentrop), spowodowali scementowanie bloku angielsko-francusko - polskiego, przyczyniając się mimochodem do sojuszu angielsko - francusko - tureckiego i takiego samego z Grecją. Opinia Europy w ogóle nie zwraca uwagi na to, co Niemcy w tej sprawie próbują dowodzić; nawet Włosi po paru próbach z obowiązku, wycofali się z podtrzymywania berlińskiego punktu widzenia. No i wreszcie Polacy ani rusz nie chcą się zdemoralizować.



Klapa na całej linii. A tu czas płynie: ultimatum było, Gdańska nie ma i wojny nie ma. Ktoś się przerachował i ktoś coś nie może. Narodził się więc plan numer trzy, obliczony już na zmienione warunki.

Nie można zabrać Gdańska w sposób prestiżowo - efektowny, niech już więc będzie *via facti*. Plan przewidywał trzy stopnie. Najpierw uzbrojenie i zmilitaryzowanie Gdańska. To już zostało dokonane. Potem wykazanie światu łączności jego z *Deutschtum:* Gdańsk i Niemcy to jedno. W tym celu pofatygował się pan minister Goebbels i w tymże celu pofatygować się ma pan Hitler. To zrobiono już w połowie. Wreszcie zerwanie ostatnich nici formalnie łączących Gdańsk z Polską, zerwanie w sposób, jaki późniejsze okoliczności przyniosą. Ale... ale jest przeszkoda. Areopag wodzów Trzeciej Rzeszy nie ma już złudzeń, co do Polski — wodzowie wiedzą, że będzie się ona bić. Cała więc mądrość nowego planu polega na tym, by Anglia i Francja miały ułatwione wycofanie się, czyli by nie było ze strony Niemiec „jawnej agresji". A więc do dzieła.



BERLIN ROBI KRYZYS

NAJPIERW trzeba Francuzów i Anglików zdenerwować, by potem okazać jakiego to wielkiego kłopotu chcą pokojowo nastrojone Niemcy pozbawić ich za bagatelną cenę jakiegoś prowincjonalnego miasteczka nad Bałtykiem (czy nie chytre?).



W Gdańsku zaczął się szum: trzy do czterech tysięcy „turystów" przybyło z Prus Wschodnich, Austrii i Sudetów, rozpoczęli ćwiczenia z karabinami maszynowemi, zbudowali okopy, most pontonowy na Wiśle, itd. itd.

Agenci francuscy donieśli ponadto swojemu sztabowi o jakowychś dalszych zamiarach. Premier Edward Daladier dzwoni do Londynu do ministra spraw zagranicznych lorda Halifaxa. Warszawa przygotowuje odpowiedź. Robi się gorąco. Rząd angielski zawiadamia rząd polski, że Wielka Brytania będzie walczyć nawet w przypadku „agresji z wewnątrz". Ambasador niemiecki w Paryżu, hrabia Welczek zostaje wezwany na *Quai d'Orsay*, gdzie mówią mu to samo: Francja będzie walczyć. Lecz hrabia Welczek wychodzi uśmiechnięty: że Anglia i Francja złożą także oświadczenia nie ulegało wątpliwości. Teraz nastąpi misterna gra dyplomacji z nad Szprewy. Anglia i Francja zobaczy miraż pokoju, dyplomacja niemiecka wykaże jak na dłoni, że wojny można uniknąć.

PROPOZYCJE BARONA GEYERA.

DO LONDYNU jedzie baron E. Geyer, wiezie osobiste oświadczenie pana ministra spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentropa o treści mniejwięcej następującej: kanclerz Hitler jest coprawda zdecydowany nieodwołalnie anektować Gdańsk, ale jednocześnie pragnie z całego serca uniknąć wojny. W pracy tej na rzecz pokoju może wybitnie pomóc mu premier Neville Chamberlain przez nacisk na Polskę, by dla uniknięcia powszechnego zalewu krwi, zaniechała oporu.

Premier Chamberlain, którego zasługi na rzecz pokoju dobrze są Niemcom znane, przyczyni się w ten sposób niewątpliwie do sprawy, która i kanclerzowi Hitlerowi leży na sercu.

Oświadczenie to zawiózł baron b. nieoficjalnie, niejako poufnie, jako dowód jeszcze jednej (z konieczności dyskretnej) próby pokojowo nastrojonych Niemców. Wręczył je księciu Buccleuch i lordowi Brocket w domu tego ostatniego w Londynie.

Jak widzimy pomysł tak bardzo subtelny, że aż naiwny. Premier Chamberlain nie wzruszył się relacją księcia i lorda, tak jakby tego życzył sobie minister Ribbentrop.



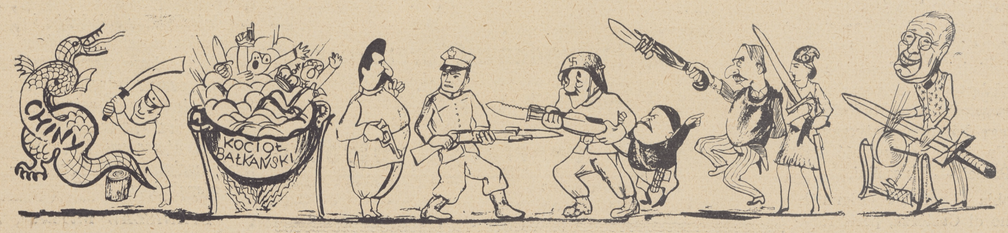
Gdy nadejdzie czas, aby realizować trzeci stopień nowego planu aneksji Gdańska, Anglia i Francja będą wisiały jak chmura gradowa, jak dotychczas, nad głowami wymyślającemi różne genialne plany.



A tymczasem na *Wilhelmstrasse* niepokoją się już, czy zanim ten trzeci stopień nadejdzie, nie rozwinie się kontrofenzywa. Pierwsza kontrofenzywa, pierwsza zaczepka dyplomatyczna w dziejach hitlerowskiej polityki zagranicznej.

Narazie, by upewnić się, że wszystko będzie „dobrze", koleje niemieckie w nowo opublikowanym rozkładzie jazdy umieciły Gdańsk jako terytorium niemieckie.

(dokończenie na str. 6-cj)



TYDZIEŃ ŻYCIA

(Dokończenie)

FRANCJA POLEPSZA SWÓJ BILANS HANDLOWY



INFORMOWALIŚMY już swego czasu o nadzwyczajnych wprost skutkach pracy ministra skarbu Reynaud'a. Angielscy ekonomiści nazwali robotę jego „jedną z najbardziej zadziwiających na polu ekonomiki". Po miliardowych deficytach z epoki Bluma nie pozostało śladu.

Z opublikowanej w tych dniach statystyki (7 lipca) dowiadujemy się rzeczy ciekawych. Proszę porównać cyfry:

Handel zagraniczny Francji w m-cu czerwcu 1939 i 1938 r. (w miliardach fr. fr.).

	1939	1938
Eksport	3,207	2,303
Import	4,072	3,825

Eksport za pierwsze półrocze 1939 roku osiągnął sumę 18.040,000,000 fr., w porównaniu do 13.963,000,000 za półrocze 1938 r. Import: 24,765,000,000 w porównaniu do 23,264,000,000.

Mimo nienormalnych warunków, mimo strachów i zamachów gospodarka francuska polepsza się.

I WE WŁOSZECH NIE MA KANIKUŁY

RZYMSKIE koła polityczne utrzymują, jakoby Mussolini zagroził generałowi Franco, że jeśli Hiszpania do 18 lipca nie przystąpi do sojuszu wojskowego z „osią", to Włochy i Niemcy wyciągną z tego faktu wszystkie konsekwencje. Co oznacza słowo „wszystkie" trudno odgadnąć, zważywszy, że wojska włosko - niemieckie opuściły już piękne brzegi Hiszpanii, a gospodarczo bynajmniej zagrozić jej nie mogą. Coprawda pozostała jeszcze baza samolotowa włoska na wyspie Mallorka. Być może, że jedną z ważniejszych konsekwencyj byłaby odmowa wycofania wojska włoskiego z Mallorki.

Uwagę kół dyplomatycznych zwróciła także aktywność na linii Papież — Mussolini.

Hrabia Bonifazio Pignatti Morano di Custozza, poseł rządu włoskiego przy Watykanie utrzymywał w ubiegłym tygodniu codzienny niemal kontakt z kardynałem Maglione, który jest, jak wiadomo, sekretarzem stanu.

Rozmowy dotyczyć miały podobno inicjatywy pokojowej Watykanu. Jest to o tyle znamienne, że Mussolini powierzył Albertowi de Stefani (założycielowi urzędowej agencji telegraficznej włoskiej *„Stefani")* przygotowanie kampanii propagandowej, zdążającej do zawieszenia broni w wojnie nerwów i do ograniczenia wyścigu zbrojeniowego.

Ażeby już do reszty odebrać Włochom złudzenia na letnie *dolce far niente*, dziennik *Popolo d'Italia* rozpoczął piekielną kampanię przeciw wydawcy książek szkolnych Signorowi Signovelli, który niebacznie dopuścił, by w jednym z podręczników nazwano Juliusza Cezara „t y r a n e m". Jak wiadomo Duce jest dumny z podobieństwa do Cezara.

No i wreszcie trzeba dodać, że Włochy pozostały bez hymnu państwowego!? Tak jest, bo, właśnie po podbiciu Abisynii stały włoski komitet nagród wyznaczył nagrodę 75 tysięcy złotych za nowy „hymn imperialny". Dziewiętnastu kompozytorów nadesłało swe utwory, ale żaden nie został uznany za godny nagrody.



O BRAKU SATYRY W POLSCE

Od dawna wiedziano, że nie byłoby tak smutno w Polsce, gdyby nie tyle pism humorystycznych, ale z całej tej humorystyki polskiej, robiącej tak przygnębiające wrażenie, najżałośniej chyba wygląda nasza twórczość satyryczna. Mój Boże, ile to wierszyków ukazywało się w różnych pismach politycznych, w różnych „Szpilkach", mających pretensje do satyry politycznej a będących na poziomie ot, takiego sobie nosodłubka - humorysty z wykształceniem dziennikarskim! Oczywiście, że trudno, żeby nie było i tej na najniższym poziomie twórczości satyrycznej, ale gdzież jest w Polsce ta prawdziwa satyra, ten najwyższy sposób zaczepiania ludzi i spraw wielkiej wagi?

W ogóle można zauważyć, że wytworzył się jakiś duch, że tak się wyrażę „poheine'owski" ale niestety nie był to duch opierający się o tego wielkiego Heinego, ale o te małe „hajniątka" i „hajniąteczka", jakie zaludniły na wzór mikrobów prasę i kawiarnie nasze.

Trochę złośliwości, pewna poza tragicznie śmieszna, pretensjonalny grymas ust, oczywiście trochę koniecznego w tych rzeczach humanitaryzmu i to już wszystko plus trochę rymów i trochę rytmu — przetworzy się w wierszyk jeden, drugi, dziesiąty. A jednak daje się odczuwać brak poważnej satyry w Polsce. Ileż to rzeczy można byłoby odpowiednio naświetlić, uwypuklając we wklęsłem zwierciadle ich załamania, rysy ich śmieszności i wady. Wielka twórczość satyryczna mająca tak wielkich poprzedników jak Cervantesa, Dickensa, Gogola, nie znajduje u nas następców, a przecież ile u nas naiwnego idealizmu w wielu sprawach, ile śmieszności u najrozmaitszych grup społecznych, ile godnego pióra Gogola prowincjonalizmu! Ale nasi humoryści inne obrali sobie wzory: będą jeden na drugiego napadać, bawić się w jakieś komiczne zestawiania nazwisk, wyciągając najrozmaitsze plotki i ploteczki z życia przeciwników itd. itd.

To obniżenie poziomu stało się przyzwyczajeniem w kołach naszych różnych szpilkowców. Należałoby pomyśleć poważniej o przyczynieniu się do powstania wielkiej satyry polskiej i satyryków polskich, satyryków którzyby przewentylowali całą tę atmosferę „hajniątków" i „hajniąteczek", „szpileczek" i „wróbelków na dachach", należałoby może przyczynić się do ogłoszenia jakiegoś konkursu na powieść satyryczną i wyjść z tych wszystkich wierszyków, które opowiadają sobie różne urzędniczki przy śniadanku i po śniadanku, komentując radośnie — ach, jak dowcipne, ach, jakie zręczne, pyszny kawał! — i t. p. Sprawa twórczości satyrycznej w Polsce jest sprawą ważną, bo cała ta atmosfera kawiarnianych „weintraubków" jest mocno niepokojąca.

STANISŁAW BRYŁA

OD ADMINISTRACJI

Prosimy odnowić prenumeratę

„ZESPOŁU"

na III kwartał i II półrocze

Stawka na przeludnienie

Przeludnienie wsi, to chyba największa bolączka strukturalna gospodarstwa polskiego, praktycznie odczuwana była już przed wojną. Jej wyrazem była np. masowa emigracja z Galicji. Rozważania teoretyczne i ujęcie tego zjawiska w drodze specjalnych badań pojawiły się w okresie kryzysu, gdy poddawano głębszej analizie wszystkie ważniejsze elementy polskiej rzeczywistości. W różnych ujęciach metodycznych oświetlano sprawę przeludnienia w szeregu artykułów, następnie ukazała się podstawowa praca J. Poniatowskiego („Przeludnienie wsi i rolnictwo"), analizująca zarówno stan jak i poszukująca środków zaradczych. Wreszcie ostatnio pojawiła się na rynku księgarskim sumiennie opracowana publikacja Instytutu Gospodarstwa Społecznego p. t. „Bezrobocie wśród chłopów". Publikacja ta zamykać może diagnostyczną stronę problemu przeludnienia. Daje bowiem obliczone nowymi metodami szacunki ilościowe przeludnienia oraz — co jest nowością — oświetla strukturę przeludnienia, podając materiały do oceny nie tylko liczby zbędnych, lecz i kim oni są.

Nie będziemy omawiali metod i szczegółowych wyników nowego opracowania problemu przeludnienia wsi polskiej. Interesują nas wyniki najbardziej generalne. Otóż przeludnienie w 1935 r. ocenione jest liczbą 2.400.000 osób całkowicie zbędnych w rolnictwie. Lub też odpowiednio przeliczając wyniki szacunków co do ilości czasu nie wyzyskanego w gospodarstwie, otrzymalibyśmy liczbę ca 5 milionów zbędnych. W liczbie tej mieściliby się zarówno całkowicie zbędni jak i zbędni częściowo ,tzn. potrzebni w czasie pilnych robót, a nie wyzyskani w okresach tzw. martwych sezonów w rolnictwie.

Rozporządzamy zatem szerokim wachlarzem liczb, szacujących przeludnienie rolnicze Polski, bo od 1 miliona do 8½ miliona. Liczby z ostatniej publikacji mieszczą się w tych ramach. Sądzimy, że jeśli z dwóch liczb: 2,4 oraz 5 weźmiemy 5, będziemy mogli ją uznać za górną granicę szacunku przeludnienia wsi. A więc pięć milionów głów może odejść z warsztatów rolnych bez szkody dla produkcji rolniczej.

Możemy z całym spokojem uznać diagnozę za dość wiarogodną i wystarczającą. Pozostaje teraz w dalszym ciągu otwarte zagadnienie dróg rozładowania przeludnienia. Przede wszystkim podstawowe stwierdzenie na wstępie. N i e m a j e d n e j d r o g i z a r a d c z e j. Istnieje kilka zasadniczych środków, które w sumie z trudem i tylko na długiej fali mogą wpłynąć na likwidację przeludnienia wsi. Są to: intensyfikacja i racjonalizacja produkcji rolniczej, uprzemysłowienie i urbanizacja, zabiegi agrarne. Z tych czterech grup środków zaradczych wszystkie oddziaływują stale, z różnym jednakże natężeniem, jak dotąd nie wystarczającym. Możność zwiększenia ich skuteczności po części leży w naszych rękach, po części zaś leży poza sferą naszych oddziaływań, mamy w tym ostatnim wypadku na myśli emigrację. Intensyfikacja i racjonalizacja produkcji, to przedmiot działalności całego naszego aparatu agronomicznego i pośredniego oddziaływania polityki rolnej. Uprzemysłowienie i urbanizacja, to rozwój miast i symbol naszej prężności przemysłowej — C. O. P. Wreszcie zabiegi agrarne.

Zabiegi agrarne, pośrednio i bezpośrednio zmniejszające napięcie przeludnienia wsi, to w pierwszym rzędzie: akcja parcelacyjna, scalenie i likwidacja wspólnot oraz służebności. Zabiegi melioracyjne, to wspólny teren grupy pierwszej (intesyfikacja) i omawianej (agrarnej).

Nieszczęściem grupy agrarnej jest, że jako jeden z podstawowych jej składników występuje akcja parcelacyjna. Parcelacja — to utrata ziemi przez klasę ziemiańską na korzyść chłopów. To wyrównanie zagęszczenia przez rozluźnienie przeludnionych gruntów chłopskich w drodze osadzenia części tych chłopów na niedoludnionych gruntach dworskich. Parcelacja, to akcja kolonizacyjna i upełnorolnienie. Parcelacja, to katalizator wyzwalający nieraz małym nakładem olbrzymie możliwości scaleniowe. Trzeba bowiem pamiętać, że scalenie bez równoległego upełnorolnienia tych, którym przypadają najmniejsze nadziały, staje się krzywdą dla licznych uczestników i dlatego nie może być często realizowane. Jeśli założymy, że podstawowe jądro przeludnienia stanowi 5 milionów i że przyrost przeludnienia jest (lub będzie) kompensowany innymi działaniami polityki państwowej, a nie jesteśmy defetystami i wierzymy w prężność gospodarstwa polskiego, to stawiamy sobie dziś zadanie — rozładować za wszelką cenę te 5 milionów. Nie możemy i nawet nie chcielibyśmy liczyć na emigrację, pozostaje więc uprzemysłowienie, intensyfikacja i zabiegi agrarne. Udział zabiegów agrarnych w rozładowaniu tej liczby zbędnych można szacować na 1 do 2 milionów w zależności od głębokości tych zabiegów. Przy obecnych normach agrarnych rozładujemy ca 1 milion, przy innych 2 miliony a może i więcej. Są to liczby, które mówią same za siebie.

Są jednakże opinie przeciwne parcelacji, pochodzące z kół bezpośrednio i materialnie zainteresowanych w utrzymaniu dzisiejszego stanu posiadania większej własności. Na rachunek obrony interesu prywatnego dyskontowane są wszelkie elementy naszej rzeczywistości. Ostatnio np. w służbę tej idei wprzągnięto problemy obrony kraju. Publikacja p. t. „Strategia rolnicza" jest w większości swych rozdziałów strategią walki personalnej ziemian z rzekomymi ich przeciwnikami, dzisiejszymi kierownikami polityki agrarnej.

Zagadnienie przeludnienia wsi na tle ostatniej publikcji Instytutu Gospodarstwa Społecznego również zdyskontowano na rachunek obrony interesów większej własności. Wywody p. J. Steckiego [1]) oparte są na cytatach z wspomnianej publikacji i zdążają do udowodnienia, że przeludnienie wsi powinno skłaniać do zaniechania parcelacji. Autor, coprawda nie mówi tego wyraźnie, ale nastawia czytelnika na tego rodzaju wniosek. Podkreślić trzeba, że p. Stecki nie przeczytał dość dobrze swej nowej ewangelii, bowiem sumuje liczbę 2.400.000 „zbędnych" z obliczoną przez siebie liczbą 5.200.000 „zbędnych produkcyjnie", otrzymując razem 7,6 milionów zbędnych w Polsce. Rozumiejąc czym jest pojęcie zbędnych produkcyjnie w ujęciu autorów publikacji, nie możemy dodawać tych liczb, bowiem w sumie czasu zbędnych produkcyjnie mieści się już nie wyzyskany czas całkowicie zbędnych. Czyli liczba p. Steckiego 5.200.000 zawiera już w sobie 2.400.000. Należy wyrazić obawę, czy aby i pozostałe wywody autora nie są na tym samym poziomie co wspomniane sumowanie.

W arsenale argumentów przeciwników parcelacji stawka na przeludnienie jest posunięciem taktycznie może najmniej szczęśliwym. Byłoby to bowiem dowodzeniem z kategorii, że czarne jest białe.

Zabawne jest to twierdzenie ziemiańskie: ponieważ przeludnienie jest wielkie — nie należy parcelować.

E. G.

[1]) „Czas" z dn. 7 lipca 1939 r. „Bezrobocie na wsi".

FAKT, GODNY PODKREŚLENIA

Ciężkie są pierwsze lata gospodarowania polskiego osadnika na rubieżach Rzeczypospolitej. Przyszedł tu szukać lepszego jutra. Sprzedał swoje małe, z reguły posiekane na kilka kawałków gospodarstwo. Zaciasno było w jego rodzinnych stronach. Zadużo ludzi, a niewspółmiernie mało ziemi, by mógł wykarmić i zabezpieczyć rodzinie lepsze jutro.

Przybyli tu z Rzeszowskiego i z Krakowskiego. Kilkanaście rodzin zakupiło działki na terenie dworu p. Turneau w Leonówce, tuż pod Zaleszczykami.

Uśmiechali się okoliczni Rusini. Szeptano, a i głośno mówiono: „nie wytrzymają Mazury i pójdą skąd przyszli". Ale przybysz z Zachodu, twardy Mazur rozpoczął ciężką walkę o byt i zwycięża.

W pierwszym roku gospodarowania nie było koni, a i wystarczyć nie mogły własne ręce do pracy. Wynająć ani konia do orki, ani robotnika w pole nie można było. Rusini nie chcieli iść pracować do „Mazurów", nie chcieli i koni wynająć, choć płacono do 15 złotych za orkę od morga.

Stanęli osadnicy wobec katastrofy. A czuli się w pierwszych początkach tak obco. Dokoła na polach wrzała praca, gdzie indziej była nawet skończona, a u nich na polach pusto. Byli bezradni. Wówczas to samorzutnie przyszedł im z pomocą właściciel sąsiedniego majątecczku z Dźwiniacza, p. Wartanowicz, bezinteresownie zaofiarował swoje konie. Zawdzięczając tej pomocy pola przybyszów zostały uprawione, zasiane, a sabotaż miejscowej ludności złamany.

I do dziś dnia, a mija już drugi rok, opiekuje się p. Wartanowicz garstką osadników z Leonówki, czego niestety powiedzieć nie można o p. Turneau.

Rozumiejąc w dalszym ciągu potrzeby osadników, p. W. ofiarował kawałek gruntu pod budowę kościoła i na założenie plebanii, żona zaś jego roztoczyła opiekę nad liczną dzieciarnią osadników.

Pomału od fundamentów rośnie nowa Leonówka. Twardy chłop mazurski buduje tu nową Polskę, buduje nowe swoje życie. Z dużą nutą wdzięczności opowiada o niecodziennym, tak ogromnie rzadkim, a jednocześnie tak naturalnym i ludzkim uczynku p. Wartanowicza.

Ciężko spracowany chłop polski dobrze umie ocenić pomoc i szczerze jest za nią wdzięczny.

Niestety, nie często taka pomoc ma miejsce.

KONFISKATA „ZESPOŁU"

Poprzedni, 26 — 27 Nr „Zespołu" z dn. 1 — 15 lipca r. b. uległ konfiskacie za ostatnią część artykułu „Moralność jako podstawowy czynnik rządzenia".

NIEPOWODZENIE SOWIECKIEGO EKSPERYMENTU

W prasie sowieckiej ostatnich dni ogłoszone zostały dwa dekrety władz centralnych Z. S. R. R.: „O środkach zapobiegawczych szafowaniu gruntami kolektywnymi" i „O przygotowaniach do zbiorów oraz poboru produktów rolnych". Pierwszy z tych dekretów ma na celu likwidację przerostu w dziedzinie gospodarstw przysadybnych i podniesienie dyscypliny oraz wydajności pracy w kołchozach. Według postanowień dekretu do 15 sierpnia na całym obszarze państwa mają być dokonane pomiary działek przysadybnych, czyli wydzielonych do indywidualnego użytkowania kołchźników. Jak się bowiem okazało, działki te uległy „samoczynnie" dość poważnemu rozrostowi, znacznie przewyższającemu przewidziane przez prawo normy. Według obowiązujących przepisów sowieckich kołchoźnik ma prawo użytkować indywidualnie 0,25 do 0,5 ha gruntu — w wyjątkowych tylko wypadkach 1 ha. Jak wynika z treści dekretu, z biegiem czasu w wielu kołchozach wyznaczone pierwotnie granice zostały znacznie przekroczone, a rozbudowane nadmiernie gospodarstwa przysadybne paraliżują normalny rozwój gospodarki kolektywnej.

Ostatni dekret ujawnia nowe kłopoty władzy sowieckiej z chłopami i jest wysoce charakterystyczny dla stosunku państwa sowieckiego do warstwy chłopskiej.

Państwo sowieckie postawiło przed sobą zadanie doktrynalne: pomieścić chłopa w ramach komunistycznego ustroju sowieckiego, pozbawić go własności indywidualnej i zmusić do „obszczeżytja" (wspólnego użytkowania gruntów). Nie był to łatwy orzech do zrgyzienia. Mam wrażenie, że to był jeden z najtrudniejszych do realizacji punktów programu komunistycznego. Kosztował on wiele krwi chłopskiej i wiele złej krwi narobił komisarzom. Realizowano go poprzez ekspedycje na wieś, poprzez wywożenie tysięcy opornych do odległych krain imperium. Ponieważ jednoczesne złamanie oporu całego chłopstwa sowieckiego było przedsięwzięciem niemożliwym, władze sowieckie podzieliły sobie to zadanie na kilka etapów.

Najpierw więc rzucono hasło „unicztożyt kułaka kak klassa" (zniszczyć zamożnego chłopa jako klasę społeczną), po tym wzięto się do „średniaków". W końcu przyszła kolej i na „biedotę". Niszcząc wsie, gospodarstwa indywidualne i zamieniając je na folwarki państwowe — kołchozy, ustrój sowiecki uczynił z chłopa, robotnika rolnego, poprostu parocha pracującego za ordynarię. Można było tego dokonać przy pomocy ekspedycji karnych, masowej zsyłki, bagnetów i karabinów maszynowych. Na to jednak, żeby wytworzony stan, tak bardzo sprzeczny z naturalnymi dążeniami chłopa, utrzymać bez zmian na stałe, trzebaby chyba do każdego chłopa przydzielić czekistę.

Wkrótce też pod naciskiem wzburzonej opinii chłopskiej władze sowieckie sprzecznie z doktryną musiały pójść na pewne ustępstwa. Zezwolono najpierw na indywidualne posiadanie paru kur, po tym świń, po tym krowy, konia, wreszcie — skrawka ziemi przy sadybie dla indywidualnej uprawy. Ale życie jest życiem. Kury i świnie mają to do siebie, że się rozmnażają, chłop zaś lubi niekiedy „worać się" w grunt sąsiada, jeżeli sąsiedni grunt stanowią pola kołchozu, a więc właściwie w prostym rozumowaniu chłopskim — rzecz niczyją. Nic dziwnego, że chłop dodał sobie zczasem do wydzielonej łaskawie działki jeszcze jeden i drugi „zuchelek" gruntu ze wspólnej własności sowieckiej. Słusznie rozumował, że jemu to się przyda, a z tej ziemi sowieckiej nikt nie ma większego pożytku.

I tak stopniowo siłą powolnego, ale żywiołowego procesu indywidualny pług chłopa sowieckiego sięgał coraz dalej, powiększał z każdym rokiem własne indywidualne chłopskie gospodarstwo. Gdyby tak poszło dalej po pewnym czasie kołchozy przestałyby istnieć i — wszystko byłoby po dawnemu.

Nieubłaganej logice życia i naturalnych dążeń chłopskich przeciwstawił się dekret, który broni doktryny. Nakazując rewizję rozmiarów uprawianych obecnie przez kołchoźników działek indywidualnych, dekret ogranicza w znacznym stopniu dotychczasowy przydział ziemi tym gospodarstwom.

Obszar gruntów użytkowanych przez gospodarstwa indywidualne na terenie poszczególnych kołchozów nie może przekraczać 1 ha, zaś w rejonach uprawy bawełny — 0,1 ha. Działki przysadybne gospodarstw indywidualnych ustalono w granicach od 0,1 do 0,2 ha.

W myśl nowych przepisów prawo do użytkowania działek przysadybnych tracą osoby, zatrudnione stale poza kołchozem oraz ci członkowie kołchozu, którzy nie przepracują na wspólnym gruncie ustalonego dekretem minimum dni. Celem szybszego i bardziej radykalnego wdrożenia zasad gospodarki kolektywnej, do jesieni przyszłego roku mają ulec ostatecznej likwidacji wszystkie hutory (kolonie), które będą włączone w osiedla wiejskie i skolektywizowane. Dekret zapowiada również szeroką akcję z okręgów gęściej zaludnionych na tereny o większym zapasie ziemi. Będzie to niewątpliwie jeden z bardziej skutecznych środków nacisku na chłopów opierających się całkowitej kolektywizacji.

Na tej drodze ustrój sowiecki stara się zabić i zmienić do gruntu najbardziej zasadnicze cechy psychiczne chłopa i przekształcić zamieszkałe na obszarach Rosji Sowieckiej masy chłopskie na fornali, pracujących za ordynarię na wspólnym gruncie pod komendą sowieckich ekonomów. Czy to przekształcenie chłopa na fornala w drodze dekretów i nacisku administracyjnego będzie procesem o trwałych skutkach, czy władzy sowieckiej uda się przemienić duszę chłopską na fornalską — to pokaże przyszłość może niezbyt odległa.

Faktem jest, że już pierwsze lata kolektywizacji i konieczność wydania nowych dekretów, które mają przeciwdziałać żywiołowemu rozłażeniu się kolektywów, oraz dotychczasowe doświadczenia wykazały dowodnie z jakim trudem życie ustępuje przed papierową, choćby najbardziej logicznie przemyślaną, doktryną. W walce papierowego programu z życiem zwycięży życie. Zwycięstwo to okupują przecież bardzo ciężkie ofiary ze strony tej warstwy ludności, na której żywym organiźmie dokonuje się skazanego na niepowodzenie eksperymentu.

Walka z przestępcami...

(początek na str. 3)

wychowawczej, długofalowej, prowadzonej bez nacisku, w atmosferze pełnej swobody.

Najwięcej tu może zrobić praca samowychowywania młodzieży, rozwój i pogłębienie życia ideowego.

W chwili obecnej jednak nie ma odpowiednich po temu warunków.

Przede wszystkim całkowicie brak jest swobody działania, widzimy natomiast panowanie pałki i kastetu.

Następnie jednostronne nastawienie niektórych władz uczelnianych, idących na rękę elementom bojówkarskim, a utrudniającym pracę grupom chcącym spokojnie pracować.

Fakt, który miał miejsce ostatnio w Krakowie zmusza do zwrócenia większej uwagi na rolę władz uczelnianych w utrzymywaniu dotychczasowego stanu rzeczy.

Endeccy władcy organizacyj samopomocowych i naukowych pozwolili sobie na usunięcie z lokalów studenckich portretów Marszałka J. Piłsudskiego. Gdy wskutek protestów i interwencji Legionu Młodzieży Polskiej i grup pokrewnych — sprawa nabrała rozgłosu i dostała się do prasy — rektor najpierw zaprzeczył wszystkiemu — później jednak pod naciskiem opinii wdrożył śledztwo. Lecz o ukaraniu winnych jakoś nic nie słychać — natomiast wszczęto dochodzenie dyscyplinarne przeciwko dwum członkom Legionu Młodzieży Polskiej za to, że donieśli władzom państwowym o wybryku endeckim.

Fakt ten, najjaskrawszy z wielu podobnych, dowodzi, że niektórzy „wychowawcy" i „przyjaciele kochanej młodzieży" nie tylko nie potrafią własnymi siłami zmienić obecnego stanu bezprawia i anarchii — ale co gorsze — przyczyniają się do jego utrzymywania.

W sprawie antologii poezji chłopskiej

Jesteśmy w końcowym stadium opracowywania antologii współczesnej poezji chłopskiej. Pragnąc powyższe zadanie wykonać jak najsumienniej, zwracamy się z prośbą do wszystkich poetów chłopskich, którzy dotąd wydali osobne zbiory poetyckie lub takich nie wydali, a zamieszczali swe utwory po czasopismach (literackich, oświatowych, rolniczych, politycznych itp.) aby raczyli wskazać nam nazwy czasopism (rok, numer i datę) gdzie drukowali swoje utwory, — bądź też powiadomili nas o ewentualnych wydawnictwach książkowych, które mogły ujść naszej uwadze.

Wszystkie czasopisma prosimy o przedruk tego zawiadomienia.

Korespondencje prosimy kierować możliwie jaknajszybciej pod adresem:

Stanisław Słupek, Kraków, ul. Radziwiłowska 23 II. p.

Sroga Józef, Słupek Stanisław

Wydawca: Spółdzielnia „Przemiany" Nowy Świat 37 m. 15.

Cena prenumeraty: rocznej zł. 10, półrocznej zł. 6, kwartalnej zł. 3, konto P. K. O. nr. 20.658, poczt. kart. rozrach. nr. 372.

Ceny ogłoszeń — 1/1 — 600 zł; ½ — 400 zł; ¼ — 250 zł; ⅛ — 150 zł; 1/16 — 100 zł.

Redakcja i administracja czynna codziennie: 9 — 15, oprócz sobót, Nowy Świat 37 m. 15, tel. 6.19-12.

Redaktor: Kazimierz Blichewicz

Zakł. Graf. „DRUKPRASA" Sp. z o. o. Nowy-Świat 54, tel.: 615-56 i 242-48.